ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIX Warszawa, dnia 6 Sierpnia 1927 roku Nr. 32

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

30)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

— Rozwiązać Dumę....
— Pokój...
— Abdykacja cara...
— Atak...
— Ryga...
— Oddziały z Galicji.

Ale większy hałas zagłuszył te słowa. Szedł z ulicy. Sądząc po miarowym i twardym rytmie, zrozumiał Jussupow, że przechodziło wojsko.

Młode głosy nuciły pieśń rekrutów:

Żegnajcie, przyjaciele!
Żegnaj, domu rodzinny!
Żegnaj, ukochana!
Żegnaj, ukochana!

Oddziały szły jedne za drugiemi, jak wartko płynąca woda. Nad niemi wznosiła się pieśń z naiwnemi strofami, w dziecięcym rytmie.

Za drzwiami prowadzono rozmowę. A młodzi żołnierze, zgóry skazane ofiary, powtarzali zwrotkę:

Żegnajcie, przyjaciele!
Żegnaj, domu rodzinny!
Żegnaj, ukochana!
Żegnaj, ukochana!

Pierwsze pytanie, które Rasputin zadał Jussupowowi po przebudzeniu go z pozornego snu, brzmiało:

— A więc, Feliksie, szesnastego o pierwszej po północy, to już postanowione?

Jussupow pochylił głowę na znak zgody.

III

URYWEK Z LISTU

Do Cesarza. Główna Kwatera
Carskoje Sioło, 10 grudnia 1916

„Mój Ukochany!

„Ania tak cierpiała na nogę, że musiałam odwiedzać ją trzy razy dziennie... Dzisiaj zrana było po raz pierwszy siedem stopni mrozu. Dzięki temu, że spadł śnieg, jest trochę jaśniej, lecz niema słońca.

Załączam do mojego listu święty obrazek, malowany na jedwabiu, oraz kilka dokumentów Kalinina, ażebyś je mógł przeczytać, wrazie gdyby Wojejkow nie doręczył ci duplikatów.

„Proszę cię, żebyś na aktach Manuiłowa napisał: „wycofać sprawę" i przesłał je do ministra sprawiedliwości ...Ta nieczysta historja została wymyślona jedynie po to, ażeby szkodzić Naszemu Przyjacielowi (w ten sposób określała cesarzowa Rasputina. *Przyp. aut.)*, Pitrimowi i t. d. Jeżeli sprawa odbędzie się, to śledztwo rozpocznie się za kilka dni i wynikną stąd bardzo przykre rozmowy. Wszystko się powtórzy i znowu będzie poruszone straszne zajście ubiegłego roku.

„Przeto proszę cię, przyślij natychmiast bez żadnej zwłoki odnośne pismo dla Manuiłowa...

„Niech cię Bóg prowadzi i błogosławi!

„Zasypuję cię pocałunkami i tkliwemi pieszczotami.

„Twoja na zawsze stara żoneczka".

IV

C A R

Cesarzowa nie zapomniała o przyrzeczeniu, danem Lizie. Dziesiątego grudnia jechał Dolin w nocy do Głównej Kwatery, do Mohylewa z listem Aleksandry Teodorówny, który miał oddać carowi do rąk własnych.

To zadanie wyrwało Jerzego z ciasnego kręgu, w którym zamykało się jego życie. Przestali istnieć Jussupow, Rasputin oraz ich dramatyczne spojenie. Po raz pierwszy od wielu tygodni miał świat dla młodego człowieka wygląd rzeczywisty i mocny.

Uczucia Dolina poszły na nowo w normalnym kierunku, i myśl, że znajdzie się twarz w twarz z cesarzem, wstrząsnęła nim. Chociaż z dniem każdym większe zwątpienie toczyło miłość, którą żywił dla swojego panującego, jednak miłość ta była tak silna i tak czysta, że starczył nawet jej odblask, by odmłodzić udręczone serce. Z duszą niemal młodzieńczą wyskoczył Dolin na dworzec w Mohylowie.

Nie wstało jeszcze zimowe słońce. Nikłe światła drgały na szynach. Z pociągu wysiadło kilku oficerów. Oddział Ochrany, specjalnie wyszkolony w pilnowaniu dworców, sprawdzał szczegółowo dokumenty osobiste. Dolin odniósł wrażenie, że przeszedł przez pierwszy kordon jawnej czy też tajnej policji, która w promieniu wielu mil strzegła cesarza. Na widok tej organizacji o bezgranicznej władzy, uczuł Dolin, nie przyznając się do tego przed sobą, zbożny kult, jaki rozwijano w nim od dzieciństwa dla panującej osoby.

Oczekiwał go przyjaciel, Włodzimierz Kornew, przydzielony do delegacji Spraw zagranicznych. Był to elegancki młodzieniec, zadowolony z siebie i innych.

Dworzec był bardzo oddalony od miasta. Wsiedli przeto do autobusu, w którym siedziało już kilku oficerów, mających rozmaite przydziały w Stawce. Widząc, że Jerzy nie zna żadnego z nich, Kornew zapytał:

— Prawda, ty nigdy nie byłeś w Mohylewie?

— Nie, po raz ostatni odwiedziłem Główną Kwaterę w Baranowiczach, za czasów wielkiego księcia Mikołaja.

— Mój drogi, jesteś troglodytem. Wielki Książę, jakie to dawne! Mój Boże! wydaje mi się, że to był sen, dosyć przykry. Naczelny wódz, ta postać olbrzyma, ten grzmiący głos. Boże! ten rygor! Wszystko się zmieniło, gdy pewnego dnia zjawił się człowiek łagodny w mundurze pułkownika — Jego Cesarska Mość.

Dolin spojrzał mimowoli na swoich towarzyszy podróży. Nikt nie zwracał uwagi na to, o czem mówił Kornew, i ta obojętność sprawiła Jerzemu więcej bólu, niż ironja dyplomaty.

— Cesarz — ciągnął Kornew — zajmował mało miejsca, lecz jego świta zajmuje bardzo dużo miejsca. Przypominasz sobie, że za Mikołaja Mikołajewicza nie przekraczaliśmy siedemdziesięciu?

— Tak. Był nielitościwy.

— A obecnie: minister i marszałek Dworu łącznie ze swoją służbą, osobista eskorta generała Grabbego, składająca się z kozaków. Wojejkow i jego ochrana. Spiridowicz oraz jego tajni agenci, ministerstwa, administracje, w skład których wchodzą generałowie, adjutanci, sprzymierzone misje, dom wojskowy, morski sztab generalny. Pomijam doktorów, świtę carewicza, lokai, kucharzy i resztę, o której nie wiem!

„Możesz sobie wyobrazić, jak wśród tych postrojonych dworaków wygląda Aleksejew (Generalissimus, szef sztabu generalnego. *przyp. aut.)* w swoim wyszarzałym mundurze, z fizjonomją wygłodzonego podoficera i przełamany w krzyżu z nadmiaru pracy.

— Twój śmiech jest nieszczery! — zawołał nagle Jerzy.

Kornew zawahał się przez chwilę, jakby przyłapany na winie. Spojrzał przelotni na innych podróżnych i Dolin uświadomił sobie, że ironiczne słowa przyjaciela były dostosowane do ogólnego tonu, do panującej tam mody i że wyłamać się byłoby oznaką niesolidarności.

Kornew zniżył głos.

— Tak jest, śmieje się nieszczerze, — rzekł — ale co robić? Car nie wie o niczem, a wszystko może. W swojem życiu widział same parady. Dla niego parada odbywa się w dalszym ciągu. Nie jego w tem wina, lecz ludzi, którzy go tutaj przysłali. Cieszy sie życiem obozowem, jak dziecko. Przechadza się, zajmuje ogrodownictwem. Cóż chcesz, lubi życie na świeżem powietrzu.

I znowu Dolin wyobraził sobie mały domek w Carskiem Siole. Co za tragiczny kontrast pomiedzy tą pracą gorączkowa, tajną i sielskiemi rozrywkami cesarza! Czyż mógł ten pogodny człowiek oprzeć sie chorobliwym namietnościom małżonki, którą kochał?

Jerzy zapytał mimowoli:

— A siły nadprzyrodzone mają tu szerokie pole działania?

— Chwała Bogu, Rasputin nie przyjeżdża tu nigdy. Aleksiejew przeciwstawił się temu najformalniej. Ale przyjeżdża cesarzowa, Wyrubowa i Protopopow.

Ponieważ autobus zatrzymał się, Kornew szepnął pospiesznie.

— A zwłaszcza, zwłaszcza te listy, które Aleksandra Teodorówna przysyła dzień w dzień.

Jerzy podniósł rękę do piersi. Zdawało mu się, że lekka kaperta, spoczywająca w ukrytej kieszeni, nie pozwala mu oddychać.

*

* *

W pokoju hotelowym, który mu wynajął Kornew, Dolin przebrał się w inny mundur, a następnie oparł się o parapet okna. Rozpływająca się mgła zasłaniała już tylko połowę miasta. Ulice robiły wrażenie ciemnych kanałów. Nad uśpionemi domami górował sobór ciemno złotą tiarą. To budzenie się prowincjonalne posiadało, mimo silnego mrozu, głęboki urok.

Długo marzył Dolin. Myśl jego nie krążyła wokoło minionych tygodni, podczas których życie Jerzego zmieniło swój kierunek. Zapomniał o ludziach, którzy w tym czasie wypełniali mu godziny. Powracał do swego dzieciństwa, do rodzinnych uroczystości, do tego wszystkiego, co było czyste i jasne. Czuł niewyraźnie, że ukojenie, które spływało nań w ten mglisty poranek, jest ostatnim wypoczynkiem, jakiego mógł się spodziewać przez długi czas. Poił się nim nabożnie, jak bardzo świeżą wodą, w bardzo kruchym puharze, nie chcąc zepsuć tej minuty ani swojemi nadziejami, ani swojemi nienawiściami.

I tylko jemu znane cienie, i tylko dla niego znaczące dni utworzyły czarowny pochód. Przemówiły głosy zamilkłe, zdawało się, na zawsze.

Jakiś żołnierz powlókł ciężkiemi butami po ulicy. Następnie inni. Dolin spostrzegł, że niebo było czyste, a słońce świeciło. Zadowolenie Jerzego ustąpiło obrzydzeniu: trzeba się było udać do Wojejkowa.

Komendant pałacu, któremu, zgodnie z regulaminem, należała się pierwsza wizyta, był osobistością wzbudzającą największą pogardę Jerzego. Poplecznik Rasputina, przyjaciel Wyrubowej, aferzysta, pochlebca, dworak, generał handlujący wodą mineralną, ochrzczoną mianem „kuwaka", i zaopatrujący w nią armję.

Widzenie trwało krótko i było oschłe. Wojejkow, obciśnięty w huzarski mundur, niezmiernie z siebie zadowolony, grał rolę amerykańskiego businessmena. Palce gładziły naprzemian wąsy i przerzucały niedbale książeczkę czekową. Oświadczył Dolinowi, że car zaprosił go na śniadanie, ale, że mu udzieli przedtem audjencji, aby otrzymać z jego rąk list cesarzowej.

Następnie rzekł:

— Kapitanie, proszę mi wybaczyć, jestem tak zajęty, że zwykle przyjmuję wieczorem koło jedenastej. Zrobiłem dla pana wyjątek, lecz dłużej nie zatrzymuję.

Jerzy udał się do delegacji Spraw Zagranicznych. Zastał tam atmosferę uprzejmości i obojętności, właściwa zgromadzeniom dyplomatów. Ich sposób bycia był miły i mimo ubrań polowych, jakie nosili ci dawni ambasadorzy oraz ich sekretarze, pokój robił wrażenie salonu.

Dolin, przedstawiony przez Kornewa, został przyjęty gościnnie i szef delegacji, grek o bladej cerze i czarnych oczach, poczęstował go herbatą.

— Co myślisz o naszym handlarzu wód mineralnych? — zapytał Kornew. — Widzę, że wzbudza w tobie wstręt. Ale niesłusznie. Ten człowiek jest zdolny. Wiesz gdzie urządził swój główny skład kuwaka? W składzie parafialnym. Tam się sprzedaje świece, ikony i butelki z wodą Wojejkowa. Duchowny, wojskowy i handlarz wszystko razem.

(D. c. n.).

1) Historja, aż zanadto prawdziwa

I

Za oknem wagonu srożyła się polska jesień. Nie ta wszakże opiewana przez poetów, pełna słońca, purpury i złota, lecz ta najprawdziwsza: zła, zapłakana i gnuśna. Deszcz bębnił bez przerwy w dach wagonu, a wicher z wielką furją ciskał w okna pędzącego pociągu podebrane na błotnistych drogach zgniłe liście i garście słomy. Noc już zapadła czarna jak całun, którym Bóg usiłował przykryć rozkładającą się zgniłą ziemię.

W przedziale II-giej klasy, w którym się ulokowałem przed godziną w Warszawie, było natomiast ciepło i jasno. Powiedziałbym, było tem cieplej i jaśniej — im większy ziąb i szaruga dały się wyczuwać za oknami wagonu.

Bardzo lubię podróżować w taką pogodę. Wtulony w miękkie oparcie kanapy, odczuwam wtedy żywiej rozkosz, jaka płynie z otaczającego mnie ciepła, a miarowy łoskot kół pędzącego pociągu i łagodne kołysanie wagonu — nastraja mnie pogodnie, przychylnie uspasabiając do otoczenia i pobudzając do nawiązania z niem rozmowy. Szczególnie, gdy los ześle za towarzyszy podróży ludzi miłych i interesujących!

Mam wrażenie, że podobnie zapatrywali się na tę sprawę znajdujący się w przedziale pasażerowie: siedząca vis à vis mnie przy oknie niewiasta, będąca w pełni rozkwitu swej urody blondynka, pułkownik kawalerji, starszy już mężczyzna, będący moim sąsiadem najbliższym, oraz trzech jeszcze o miłej powierzchowności panów, z których, jak się później okazało, jeden był doktorem medycyny, drugi literatem, a trzeci.... o tym trzecim opowiem później.

Było nas zatem sześć osób w przedziale — czyli komplet. Zamknęliśmy więc drzwi od kurytarza i zajęliśmy swoje miejsca. O spaniu nie mogło być mowy w tych warunkach, lubo mieliśmy przed sobą całą noc jazdy, gdyż wszyscy, jak się okazało, jechali do samego Krakowa.

Przez czas dłuższy siedzieliśmy w milczeniu, choć było widoczne, że wszyscy skłonni są do wywnętrzeń. Trzeba było tylko drobnego pretekstu, aby puścić w ruch nasze języki. Tą iskrą, która spowodowała wybuch naszej elokwencji — stały się.... buty pułkownika.

Mianowicie, pani z przeciwka zauważyła, iż pułkownika cisną buty.

— Niech się pan nie krępuje — rzekła do niego — proszę zdjąć buty.

— Bardzo pani dziękuję za pozwolenie, z którego skwapliwie skorzystam — odezwał się pułkownik, ściągając coprędzej, nie bez trudu jednakże, swe eleganckie wysokie buty z ostrogami. — Mam reumatyzm i jak tylko taka pogoda, jak dziś, to mnie nawet najstarsze i najwygodniejsze pantofle pieką, cóż mówić o nowych butach, które mam na sobie. — I wsuwając zdjęte buty pod kanapę, pułkownik odsapnął z wielką ulgą.

Muszę wyznać, że zachęceni przykładem pułkownika i pozwoleniem naszej towarzyszki podróży, zdjęliśmy wszyscy swe obuwie, lokując je pod kanapami. Nawet nasza urocza blondynka przyłączyła się do towarzystwa i pozostała w cienkich, jedwabnych pończochach, czem niezmiernie zaniepokoił się pułkownik.

Przy tej okazji, zawiązała się rozmowa ogólna, z początku na temat ciasnego obuwia, do której każdy z obecnych dorzucił jakąś swoją uwagę, następnie na temat wogóle butów, z czego się wreszcie wyłoniło kilka dłuższych opowiadań, wciąż na ten sam temat.

II

— Ja bo, proszę państwa — zaczął pierwszy jegomość, siedzący przy damie — przyzwyczajony jestem obywać się bez butów. Mówi przysłowie o szewcu, co to chodzi bez butów.... Ale to nieprawda — przynajmniej u nas w Polsce jest inaczej. W Polsce bez butów chodzi literat! Tak jest, proszę państwa — literat! Ponieważ sam mam zaszczyt należeć do tego bosego bractwa, opowiem państwu przy sposobności pewną historję zaczerpniętą z mego życia, która niech będzie dowodem, że tylko ślepy los może pisarzowi polskiemu uszyć buty. Szyją mu buty coprawda czasem i ludzie: wydawca, krytyk, czytelnicy, koledzy, ale to w przenośni. W życiu zaś jedyny powołany do tego człowiek: szewc — pisarza polskiego ma w pogardzie. Tak to się w tej Polsce dziwnie składa.

Otóż ze mną było tak. Biedowałem wówczas strasznie, zagrzebany po uszy w długach i u wydawcy i u sklepikarza, i w knajpie i u przyjaciół zresztą nielicznych. Przychodziły mi już do łba Bóg wie jakie myśli, że to niby czas najwyższy skończyć z tem wszystkiem, raz na zawsze. Aż tu naraz, ni stąd ni zowąd błyska mi nadzieja ratunku. Pewien magnat polski porządkował swoją bibljotekę na wsi pod Warszawą i potrzebował kogoś, ktoby mu w tej pracy dopomógł. Ktoś mu tam polecił moją osobę, napisał więc do mnie, bym przyjechał, obiecywał nawet dać znaczne honorarjum. Była to dla mnie jedyna możliwość wybrnięcia ze wszystkich tarapatów, w jakich ugrzązłem. Pamiętam, że w chwilę po otrzymaniu tego listu chodziłem uradowany po pokoju, gdy naraz oczy moje padły mimowoli na kończyny mych trzewików. Przystanąłem w miejscu, ugodzony straszną myślą: — Nie mogę jechać! Nie mam przecież co włożyć na nogi. W tych trzewikach, które miałem na sobie, jechać przecież nie mogłem. Ubranie miałem jakie takie, choć kuse i portki raczej do rzeszota podobne. Jednak uszłoby. Lecz trzewiki?!

Państwo nie możecie sobie nawet wyobrazić, co to były za trzewiki. To nie były trzewiki — lecz dwa potworne, niesyte zwierzęta, z rozwartemi z głodu paszczękami! Poddałem je uważnym oględzinom, czyby się je nie dało doprowadzić do jakiegoś stanu względnej przyzwoitości. Ale gdzietam! Obcasy i zelówki zmieniły zasadniczy swój kształt oraz skład chemiczny. To już nie była skóra, lecz jakaś zwarta, twarda i niekształtna masa, ekstrakt wszystkich gatunków błota. Nie lepiej się prezentowała zewnętrzna strona tych trzewików. Nieczyszczone oddawna, straciły one swój właściwy podstawowy czarny kolor, upodabniając się w swej szarzyźnie do ziemi, z którą się stykały. Ze względu na wielką ilość dziur, przypominały raczej durszlak do czerpania błota, — niż przykrycie dla nóg człowieczych. Lecz najstraszniej

wyglądały przednie kończyny trzewików w tem miejscu, gdzie normalnie twarda część noska łączy się z podeszwą. W tym wypadku miało się do czynienia z rozwartemi szeroko szczękami, których dolną opuszczoną wargę stanowiły resztki podeszwy, zaś górną unoszące się wzwyż noski. W obramowaniu tych szczęk tkwiły rzadkie zęby drewnianych ćwieczków, a z głębi głębokich gardzieli wyzierały niby ostre żądła moje duże palce u nóg. Widok był zaiste okropny. Gdy stąpałem — paszcze tych trzewików rozwierały się szeroko, wchłaniając żarłocznie do wnętrza co Bóg dał: kurz, błoto, wodę, żwir, piasek, czy w najgorszym razie powietrze...

Ponieważ warunki, w jakich byłem wówczas, nie pozwalały mi się łudzić nadzieją kupienia nowego obuwia, postanowiłem zrezygnować z proponowanej mi posady i nazajutrz miałem w tym duchu odpisać owemu magnatowi. Po powzięciu tej decyzji, wpadłem znowu w stan bierności i apatji, czekając już tylko z rezygnacją na katastrofę, do której nieodwołalnie zmierzał mój niepotrzebny nikomu żywot. Widziałem w tem wszystkiem małpią złośliwość losu, który, podając mi jedną rękę, bym się wygrzebał, drugą — ciągnął mnie za nogi w bagno, bym ugrzązł jeszcze bardziej.

W takim nastroju położyłem się wcześnie do łóżka i aczkolwiek nie chciało mi się wcale spać, zgasiłem lampę, szukając ukojenia w ciemności.

Mieszkałem wówczas w małym parterowym domku na przedmieściu, w pokoju pozostawionym mi do użytku przez pewnego znajomego, który wyjeżdżając na parę miesięcy z Warszawy, chciał mi wyświadczyć grzeczność i ustąpił mi to mieszkanie. Okno mego pokoiku wychodziło na ulicę, od której przedzielał je tylko maleńki ogródek, zarośnięty krzewami bzów. Ponieważ była wiosna i bzy kwitły, lubiłem tedy zostawiać okno na pół otwarte, by przez nie wpływała do pokoju fala upajającego zapachu. Łatwiej mi tak było znosić samotną pustkę niewesołych nocy. Złodziei się nie bałem, bom był goły jak święty turecki, mogłem więc śmiało rozkoszować się zapachem również tureckiego... bzu.

Leżałem więc owego wieczoru na łóżku, które stało przy ścianie nawprost okna i wdychałem całą piersią sączący się do pokoju aromat kwitnącej wiosny....

Aż tu nagle, słyszę cichy trzask i szelest za oknem, jakby ktoś się poruszał w krzewie bzu. Po chwili widzę, że się okno rozchyla zupełnie i na jasnem jego tle ukazuje się głowa jakiegoś dżentelmena. Ja nic, leżę cicho i udaję, że śpię. Tymczasem dżentelmen stawia ostrożnie na parapecie okna jakieś zawiniątko i powoli, jak można najciszej, zaczyna gramolić się do pokoju.

Wówczas, jak nie krzyknę groźnie:

— Kto tam?....!

Ażem się uśmiał z szybkości, z jaką ów dżentelmen, który już był jedną nogą w pokoju, ześlizgnął się za okno, w krzaki i w nogi. Znalazłszy się przy oknie, zobaczyłem już tylko, jak wiał wzdłuż ulicy, aż znikł za rogiem. Śmiech mnie zbierał na myśl, jakąby miał głupią minę ten bęcwał, gdyby tak udało mu się skraść moje trzewiki. Żałowałem nawet, żem zawcześnie go spłoszył.

Aż tu naraz oczy moje padły na zawiniątko, które w tym pośpiechu zapomniał mój gość na oknie. Był to jakiś przedmiot zawiązany w zwykłą, białą chustkę. Zajrzałem do środka i omal nie krzyknąłem z podziwu. W zawiniątku kryła się bowiem para nowiutkich, eleganckich lakierków. Ani chybi, gdzieś je mój dżentelmen machnął, zanim przyszedł próbować szczęścia u mnie. Nie poszczęściło się biedakowi ze mną.

A ja — ja byłem uratowany!

— No i cóż — zapytałem — przynajmniej pasowały na pana?

— Jakby na mnie robione, mój numer i moja miara!

III

— Tak — odezwał się po chwili jegomość siedzący za pułkownikiem — zabawna historja i nieco zakrawa na bajkę.

Ja znowu miałem wypadek, daleko mniej przyjemny, choć w skutkach może podobny, skoro tedy mowa o butach — opowiem państwu tę historję.

— Prosimy, prosimy—odezwaliśmy się chórem.

— Uprzedzam, że historja ta nie będzie bajką, bo też ja nie jestem, jak mój przedmówca, literatem, lecz tylko.... lekarzem. Historja tedy moja jest zdarzeniem rzeczywistem, które przeżyłem naprawdę lat temu... mniejsza zresztą o lata.

Dość powiedzieć, że byłem wówczas grubo młodszy i w praktyce lekarskiej przeżywałem najlepsze czasy. Byłem wziętym i młodym lekarzem, u którego leczyła się najlepsza i najbogatsza klijentela miasta.

Pewnego dnia, a raczej wieczora, odpoczywając po ciężkiej pracy całodziennej, w swym gabinecie, zapomniałem wyłączyć telefon. Robiłem to zawsze, ilekroć nie chciałem, by mi przerywano godziny wypoczynku. Tym razem jednak zapomniałem i w pewnej chwili słyszę delikatny dźwięk dzwonka w aparacie.

Biorę słuchawkę, pytam, kto mówi, odpowiada mi jakiś bardzo miły głos kobiecy. Podaje mi swój adres, ulicę, numer domu i mieszkania i błaga, abym nie odmówił natychmiast przybycia, gdyż czuje się bardzo źle i potrzebuje mojej pomocy. Tłomaczę się, że jestem b. zmęczony, polecam jej mego kolegę — ale niewiasta jest uparta, i tak mnie prosi, tak błaga, tak zaklina, przyczem głos ma taki miły i pieszczotliwy— że wreszcie decyduję się jechać. Notuję adres, zapowiadam swoją wizytę za pół godziny i odkładam słuchawkę.

Trochę mi się nie podobała ulica, na której mieszkała ta niewiasta, była to bowiem ulica położona na peryferji miasta, w dzielnicy mało uczęszczanej. Ale trudno, — obiecałem — pojadę! Spojrzałem na zegarek: była godzina 10-ta.

Wsiadłem w taxi i za chwilę byłem już pod wskazanym numerem. Dom, przed którym wysiadłem, wyglądał nawet dość przyzwoicie. Był to dwupiętrowy, murowany budynek, o oknach z żaluzjami. Sterczał on coprawda samotnie na ogromnej pustej przestrzeni, gdyż ulica ta była zupełnie nie zabudowana. Można rzec, że w promieniu jakichś pięciuset kroków nie było w pobliżu tego domu żadnej innej ludzkiej siedziby.

Wszedłem na schody, zadzwoniłem i odrazu mi otworzono. Powitała mnie stara służąca, o miłym wyglądzie.

— Proszę pana za mną — powiedziała i poprowadziła mnie przez amfiladę wielkich pokoi wgłąb mieszkania.

Mieszkanie było obszerne i dostatnio umeblowane.

— Niech pan wejdzie, pani czeka na pana doktora — powiedziała stara — wpuszczając mnie do ostatniego pokoju i zamykając drzwi za mną.

(D. c. n.)